NAUKA 1/2005 • 147-156

LESZEK PACHOLSKI

Jakie uniwersytety?

W styczniu 2004 roku „The Economist" opublikował artykuł o szkolnictwie wyższym. Zawiera on między innymi informacje o opublikowanym przez Komisję Europejską rankingu najlepszych uniwersytetów na świecie i o wydatkach na szkolnictwo wyższe.

Oczywiście mowa jest o pieniądzach, czesnym i państwowych dotacjach, ale główna teza brzmi: *unikajmy systemu państwowego, jednorodnego, popierajmy różnorodność i niezależność*. Artykuł ostrzega przed systemem, który *bardziej pasuje do sowieckiego systemu centralnego planowania niż do współczesnej demokracji*. Czytając to, trudno było nie pomyśleć o złożonych w polskim Sejmie projektach nowej Ustawy o szkolnictwie wyższym.

Według „The Economist" rząd francuski przeznacza na szkolnictwo wyższe prawie 6% produktu krajowego brutto. Więcej niż USA, Wielka Brytania, Niemcy, Japonia i Szwajcaria. Wprawdzie fundusze na naukę są w USA znacząco uzupełniane ze źródeł prywatnych, więc całkowite wydatki są w USA nieco większe, ale i tak analiza rankingu uniwersytetów szokuje.

Najlepsze uniwersytety są w USA. Harvard, Stanford, Caltech, UC Berkeley. Najlepszy uniwersytet francuski jest na 65. miejscu. Wyprzedza go 37 uniwersytetów amerykańskich i 14 europejskich z krajów wydających na szkolnictwo mniej niż Francja. W gronie 50 najlepszych uniwersytetów europejskich są oczywiście Oxford i Cambridge, ale także inne uniwersytety brytyjskie: Imperial College, University College i Uniwersytet w Edynburgu, a także uniwersytet i politechnika w Zurychu oraz uniwersytety w Sztokholmie, Utrechcie i Monachium. Inne badania wykazują, że Stany Zjednoczone przodują nie tylko w rankingach uniwersytetów, ale także w liczbie oraz finansowej wartości patentów, w eksporcie nowoczesnych technologii – właściwie we wszystkim, z wyjątkiem atrakcyjności zabytków i jakości kuchni.

W kwietniu we Francji wybuchły strajki uczonych. Głównym ich powodem było to, że rząd przekształcił 540 stałych etatów w etaty czasowe. W USA te strajki byłyby niemożliwe, bo tam rząd takich decyzji nie podejmuje. I to jest prawdziwa przyczyna tego, że za niemal takie same pieniądze w USA jest dobrze, a we Francji nie. Źródłem ogromnych różnic między efektywnością nauki i szkolnictwa wyższego we Francji i w USA jest francuski centralizm i amerykańska autonomia uniwersytetów.

Prof. dr hab. Leszek Pacholski, Uniwersytet Wrocławski, Instytut Informatyki

Znaczna część wydatków na szkolnictwo i naukę we Francji to wydatki na utrzymanie niesłychanie rozbudowanej biurokracji. Szkolnictwo w Wielkiej Brytanii, które w porównaniu z francuskim jest znacznie gorzej finansowane, ma lepsze wyniki, bo tamtejsze szkoły są mniej spętane biurokracją.

Unia Europejska jest zaniepokojona amerykańską supremacją. Niestety, niewiele z tego niepokoju wynika. Mamy wprawdzie deklaracje polityków: strategie lizbońskie i procesy bolońskie, apele, międzynarodowe akademie i uroczystości, obietnice utworzenia programów, powołania komitetów, zespołów i biur. Zbudujemy w Europie najlepszą, najsprawniejszą, najnowocześniejszą i najdroższą administrację zajmującą się nadzorowaniem badań naukowych i szkolnictwa. Zapewne pozwoli nam to wyprzedzić USA w objętości formularzy grantowych i długości sprawozdań naukowych, tak jak dawniej w RWPG wyprzedzaliśmy imperialistów w produkcji surówki i lokomotyw.

Wąskie cele

Polska wciąż stoi przed wyborem modelu edukacji wyższej i modelu organizacji badań naukowych. Istniejący system i prawo coraz bardziej hamują rozwój i prowadzą do patologii. Niestety, niezbędnych reform nie przeprowadzono wtedy, gdy reformowano system polityczny i ekonomiczny. Teraz będzie trudniej, nie ma bowiem entuzjazmu w stosunku do zmian ani w klasie politycznej, ani wśród naukowców. My jesteśmy z wszystkiego, oprócz pensji, zadowoleni, a politycy mają na głowie sprawy, które łatwiej przeliczyć na głosy wyborców.

A od tego, jaki model edukacji wyższej zostanie wybrany w Polsce, zależy bardzo dużo. Przykład Irlandii wskazuje, jak istotny ma to wpływ na tempo rozwoju gospodarczego. Musimy podjąć decyzję, czy tak jak Francja będziemy wyrzucać pieniądze w błoto, czy też zainwestujemy je w przyszłość.

W ostatnich dniach czerwca Sejm skierował do komisji dwa konkurencyjne projekty ustawy regulującej sprawy szkolnictwa wyższego. Jeśli ustawa zostanie uchwalona, będzie prawdopodobnie obowiązywać przez kilkanaście lat. Mimo że dotyczy najżywotniejszych spraw szkolnictwa i nauki w Polsce, nie wzbudziła zainteresowania środowiska naukowego. Senaty szkół wyższych, z wyjątkiem jednego, nie dyskutowały nad projektami. Nie było też prawdziwej dyskusji na łamach prasy.

Jeden projekt – prezydencki, przygotował powołany przez prezydenta RP zespół złożony z obecnych i byłych rektorów, drugi – poselski, jest modyfikacją projektu Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność". Projekty te, prócz tego, że petryfikują obecny, zdecydowanie zły system, przynoszą dość istotne nowe zagrożenia. Trudno nie zgodzić się z profesorem Łukaszem Turskim, który we „Wprost" z dnia 8 sierpnia napisał: *Oba projekty zostały napisane po to, by pewna część środowiska akademickiego zrealizowała swoje wąskie cele*.

Projekt poselski kładzie nacisk na zniesienie habilitacji, projekt prezydencki na ustawowe umocowanie licznych ciał zarządzających życiem akademickim i centralizację decyzji dotyczących programów nauczania. Oba projekty w zasadzie nie podnoszą żadnych innych spraw i nie rozwiązują istotnych problemów szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce. Tam, gdzie nie dotyczy to „wąskich celów", nie proponuje się żadnych zmian w istniejącej ustawie, nawet w tych miejscach, gdzie istniejące zapisy są ewidentnie złe. Na przykład, oba projekty proponują pozostawienie dotychczasowego, absurdalnego, dwustopniowego sposobu wyboru członków Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, nie zapewniającego ani reprezentatywności, ani wysokiego poziomu członków Rady. W trakcie dotychczasowych prac nad ustawą nie było żadnej dyskusji, która pozwoliłaby na sporządzenie listy niezbędnych lub pożądanych zmian oraz pomogłaby znaleźć możliwie najlepsze rozwiązania. Przy całym szacunku dla wysokich gremiów, które nad projektami pracowały, mogły one niejedno przeoczyć.

Precz z habilitacją?

W „Polityce" z dnia 24 lipca ukazał się artykuł Cezarego Wójcika i Józefa Wieczorka postulujący zniesienie habilitacji. Artykuł żarliwy, pełen troski o stan nauki polskiej, ale jednocześnie troszkę bałamutny i bardzo naiwny. Zaczyna się od spacyfikowania potencjalnych polemistów. Ewentualni obrońcy habilitacji to zwolennicy tytułomanii niespotykanej w cywilizowanym świecie i sprzymierzeńcy profesorów z nadania Łukaszenki, uczeni na poziomie Kuby, Wietnamu i Korei Północnej. Aż strach się odezwać. Artykuł jest bałamutny, bo już tytuł sugeruje, że dożywotnie zatrudnienie jest czymś wyjątkowym – elementem polskiej patologii. A przecież obaj panowie doskonale wiedzą, że na przykład na uniwersytetach amerykańskich, profesor po sześciu latach pracy albo zostaje zwolniony, albo dostaje *tenure*, co oznacza, że ma, podobnie jak prof. dr hab., posadę do emerytury.

Zamierzam bronić habilitacji, ale z wieloma tezami autorów się zgadzam – w szczególności z tym, że nauka w Polsce znajduje się w stanie zapaści. Oczywiście są ośrodki, gdzie prowadzi się badania naukowe na przyzwoitym światowym poziomie, i są uczeni, którzy są światowymi liderami. Są też, niestety, ogromne rzesze naukowców publikujących w wydawnictwach, których nikt nie czyta, naukowcy, którym nawet do głowy nie przyjdzie, że można napisać coś, co zainteresuje kogokolwiek na świecie.

Niestety, zniesienie habilitacji nie tylko nie uzdrowi nauki w Polsce, ale może zniszczyć ostatnie oazy dobrej naukowej roboty. Istotną cechą życia naukowego w Polsce jest fizyczny bezruch. Młody uzdolniony człowiek podejmujący studia na polskim uniwersytecie, jeśli tylko wybierze karierę naukową, prawdopodobnie przejdzie na tym samym uniwersytecie na emeryturę. Jeśli będzie bardzo dobry i będzie w dobrym ośrodku, zapewne po drodze zaliczy staż za granicą i to wszystko. Jego rówieśnicy w USA

i w Europie Zachodniej wielokrotnie będą zmieniali miejsce pobytu, wielokrotnie przystąpią do konkursu na stanowisko, o które ubiegać się będą dziesiątki lub nawet setki osób. Będą oceniani przez różne gremia, złożone z osób, które nie są z nimi i z ich promotorami powiązane układami. W Polsce w wielu instytucjach zrobienie doktoratu gwarantuje zatrudnienie w macierzystej placówce, a tam, gdzie etatów jest mało, o zatrudnieniu często decyduje siła promotora lub nawet koneksje rodziców, a nie dorobek naukowy. Zniesienie habilitacji tego nie zmieni.

Panowie Wójcik i Wieczorek publikują nie tylko w „Polityce". W Internecie można znaleźć ich artykuły, przedstawiające obraz polskiego środowiska pełnego baronów, którzy dzięki tytułom naukowym i układom zdobywają wielką władzę i trzęsą swoim otoczeniem ze szkodą dla nauki. Autorzy wierzą, że likwidacja habilitacji i tytułu profesora odbierze baronom władzę. Niestety, są bardzo naiwni. To właśnie habilitacja i tytuł utrudniają baronom życie. Aby powierzyć stanowisko profesora swemu pupilkowi, muszą wcześniej znaleźć co najmniej trzech recenzentów, którzy napiszą pozytywne recenzje, i muszą się liczyć z opinią Centralnej Komisji. Likwidacja habilitacji doprowadzi do tego, że środowisko naukowe zostanie całkowicie zamulone miernotami.

Inny dowód naiwności autorów, to propozycja „podniesienia poziomu doktoratów", który jest zdecydowanie za niski. Autorzy nie precyzują, czy powinno to nastąpić poprzez wymuszenie środkami administracyjnymi, czy też byłoby skutkiem presji środowiska. Metody administracyjne źle się nadają do kontrolowania poziomu badań naukowych i byłyby bardzo kosztowne. Apele o podniesienie poziomu mogłyby ewentualnie odnieść skutek tam, gdzie poziom już teraz jest wyższy niż gdzie indziej. Tam, gdzie jest źle, na pewno się nie poprawi. A jak rozwiązać problem praw nabytych? Czy wymagać więcej już od tych, którzy kończą pisanie rozprawy doktorskiej, czy tylko od tych, którzy właśnie rozpoczęli studia doktoranckie? Gdy kilkanaście lat temu zlikwidowano tytuły profesora zwyczajnego i nadzwyczajnego oraz wprowadzono jeden tytuł profesora, zakładano, że wymagania do nowego tytułu będą wyższe od wymagań do tytułu profesora nadzwyczajnego. W praktyce okazało się, że obecny profesor, to tylko dawny profesor nadzwyczajny. Na całym świecie poziom doktoratów zależy od uniwersytetu. Wiem, że inny jest w École Normale Supérieure a inny w Université de Provence, inny jest w Stanford, a inny w Kent State. Każdy może to sprawdzić.

Zmienić habilitację!

Bronię habilitacji, uważam jednak, że można i trzeba ograniczyć jej znaczenie i zmienić jej charakter. Jedynym przywilejem doktorów habilitowanych powinno być prawo uczestniczenia w procedurach nadawania stopni naukowych. Po to, by decydować o nadaniu stopnia doktora i doktora habilitowanego, trzeba mieć wiedzę i doświadczenie nieco szersze niż ma świeżo upieczony doktor. Nie wiem natomiast, dlaczego tylko

doktor habilitowany może być opiekunem magistranta i nie znam żadnych przyczyn, dla których szkoła wyższa kształcąca magistrów (a tym bardziej szkoła oferująca studia licencjackie) powinna zatrudniać co najmniej ośmiu profesorów na każdym kierunku.

Jestem belfrem prawie czterdzieści lat i nie zetknąłem się z żadnym dowodem na to, że – z wyjątkiem zajęć, których celem jest przygotowanie najlepszych studentów do pracy naukowej – fakt posiadania habilitacji miał pozytywny wpływ na jakość pracy dydaktycznej. Oczywiście, jest pewna korelacja pomiędzy inteligencją i sukcesami w pracy naukowej, więc wśród dobrych nauczycieli są także doktorzy habilitowani, ale znam bardzo wiele osób, które doskonale uczą i wcale nie zamierzają się habilitować. Znam też profesorów zwyczajnych, którzy uczyć nie powinni.

Zniesienie wymagań dotyczących kadry samodzielnej na studiach licencjackich, a nawet magisterskich, co najmniej częściowo zlikwidowałoby wieloetatowość, jedną z najbardziej dotkliwych patologii w życiu szkół wyższych. Oba projekty ustaw nawiązują do tego problemu, ale proponowane rozwiązania niczego nie zmienią.

Niektórzy zwolennicy zniesienia habilitacji argumentują, że na czas „robienia habilitacji" zawiesza się badania naukowe. Nie wykluczam, że jest tak w niektórych środowiskach i dlatego należy zdecydowanie zmienić formułę habilitacji, podobnie jak zrobiono już we Francji i Niemczech. Nie jest bowiem prawdą, że zniesiono tam habilitację. Zmieniono tylko jej formę. We Francji i Niemczech od wielu lat nie ma już rozprawy habilitacyjnej. Decyzję o nadaniu odpowiednika habilitacji podejmuje się na podstawie oceny dorobku naukowego. Żadna rozprawa nie jest potrzebna. Jedyny dodatkowy wysiłek to przygotowanie przekonującego opisu dorobku naukowego. Tam, gdzie prawdziwe konkursy są standardem, umiejętność pochwalenia się swoimi wynikami jest cenną umiejętnością. Oczywiście, wymagania dotyczące dorobku mogą być różne w zależności od dyscypliny. Wymaganie od historyka literatury, żeby napisał monografię, wydaje się dość naturalne, byłoby jednak absurdalne w stosunku do chemika.

Uczony w USA poddawany jest surowej ocenie po pierwszych sześciu latach pracy na stanowisku profesora. Jeśli ocena jest pozytywna, oferuje mu się stałą pracę, jeśli nie, musi odejść. Habilitacja bez konieczności pisania rozprawy byłaby pewną namiastką procedury przyznawania stałej pracy w USA. Różnica polegałaby tylko na tym, że w Polsce decyzja byłaby zatwierdzana przez CK.

To, że stopień doktora habilitowanego byłby nadawany na podstawie dorobku, prawdopodobnie wyeliminowałby żenujące wymagania dotyczące oświadczeń o wkładzie autorów prac wspólnych. Warto takie wymagania wyeliminować także w przypadku rozpraw doktorskich. W ciągu ostatnich kilku lat starannie przejrzałem ponad setkę wyróżniających się rozpraw doktorskich z informatyki, napisanych głównie w czołowych uniwersytetach amerykańskich. Znaczna większość z nich zawierała wyniki uzyskane we współpracy z promotorem. Rezultaty wielu z tych prac były znane i cytowane jeszcze

przed zakończeniem przewodu doktorskiego. Nikogo to nie gorszy, a znakomicie ułatwia młodym doktorom karierę naukową.

Biurokracja

W późny sobotni wieczór 7 sierpnia 2004 roku, w samym środku wakacji, moja skrzynka pocztowa wypełniła się listami członków Komitetu Informatyki PAN, popierających protest rektora AGH, profesora Ryszarda Tadeusiewicza, przeciwko propozycji Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego (RGSW), która w efekcie mogła doprowadzić do likwidacji studiów informatycznych na politechnikach. Problem wziął się stąd, że Rada Główna zajęła się porządkowaniem listy kierunków studiów. Kierunki będą podzielone na grupy (pewnie 10), a w każdej grupie będzie kilka lub kilkanaście kierunków (najlepiej po 10), dla każdego kierunku powstanie charakterystyka kierunku, sylwetka absolwenta, definicja minimum programowego oraz zasady kształcenia w trybie zawodowym. W ten sposób zbuduje się coś na kształt ustawy zasadniczej, regulującej sposób zdobywania wiedzy na 100 lub może 104 kierunkach. Oczywiście, jak można przeczytać na stronie RGSW, *w sytuacji jasno określonej potrzeby, wynikającej z rozwoju badań naukowych* możliwe będzie wyodrębnienie nowego kierunku studiów.

Centralizację decyzji dotyczących programów studiów uważam za absurd, który projekt prezydencki jeszcze wzmacnia. Przyszła ustawa, podobnie jak obecna, da uczonym prawo kierowania uczelnią i zarządzania jej finansami. Wyłonionemu w demokratycznych wyborach rektorowi, który wcześniej był ornitologiem lub mediewistą, i na ogół nie ma pojęcia ani o finansach, ani o zarządzaniu, powierza się kierowanie przedsiębiorstwem zatrudniającym kilka tysięcy ludzi, którego budżet wynosi setki milionów i które świadczy usługi dla dziesiątek tysięcy studentów. Ta sama ustawa nie daje Radzie Wydziału, w której składzie jest kilkudziesięciu kompetentnych matematyków, w tym kilku wybitnych, prawa ułożenia programu studiów matematycznych.

Kolejny absurd, to wiązanie kierunków studiów z dziedzinami nauki, tak jakby podstawowym zadaniem uniwersyteckiej dydaktyki było kształcenie kadr naukowych. Za absurdalne uważam samo pojęcie „sylwetki absolwenta". Nowoczesne studia powinny być elastyczne i to student powinien sam, poprzez podejmowane w trakcie studiów decyzje, kształtować swoją „sylwetkę".

Po ostatniej rekrutacji na studia wyższe liczba studentów w Polsce zbliżyła się do 2 milionów. Studiować będą tysiące młodych matematyków, geografów, chemików, historyków literatury, prawników, etnografów (lista kierunków może się oczywiście zwiększyć, *w sytuacji jasno określonej potrzeby, wynikającej z rozwoju badań naukowych*). Przez pięć lat, za spore pieniądze, państwowe lub rodziców, zdobywać będą specjalistyczną wiedzę, napiszą prace magisterskie na ezoteryczny temat po to, by potem znaleźć się na rynku pracy potrzebującym zaledwie kilku dziesiątek etnografów,

tyluż historyków średniowiecza, może setek matematyków. Zaledwie kilka procent absolwentów specjalistycznych studiów wykorzysta istotną część swojej wysoko wyspecjalizowanej wiedzy.

Młodzi ludzie zapisują się na studia kierunkowe, bo tylko takie studia są. Nie dlatego, że w przyszłości chcą zajmować się historią literatury lub matematyką, lecz dlatego, że chcą skończyć studia, a potem znaleźć pracę. I trafiają na rynek, gdzie – z punktu widzenia pracodawcy – ich dyplom będzie dokumentował tylko to, że prawdopodobnie są trochę bardziej inteligentni od przeciętnego Polaka, że zapewne mają trochę ogłady i... niewiele więcej. W znacznej większości będą wykonywać pracę, która nie ma żadnego związku z ich wykształceniem.

W USA masowe studia wyglądają zupełnie inaczej. Studiuje się na uniwersytecie, a nie na przykład na etnologii. Po ukończeniu czteroletnich studiów w college'u uzyskuje się tytuł (BA lub BS) i specjalizację (*major*). Specjalizacja w zakresie informatyki oznacza na przykład, że w trakcie studiów około 40% punktów „kredytowych" zdobyło się za przedmioty informatyczne i wypełniło się pewne absolutnie minimalne minima programowe. Pozostałe punkty można zdobyć, zaliczając zajęcia na temat komunikacji interpersonalnej (bardzo potrzebna prawie w każdym zawodzie), ekonomii (bo przecież znaczny procent informatyków będzie pracował dla banków), malarstwa (bo jak robić strony internetowe, nie czując kolorów), czy tańca (bo lubimy tańczyć). Przeciętny absolwent takich studiów lepiej się sprawdzi na rynku pracy od kogoś, kto zdobył 90% punktów, zaliczając programowanie kwantowe, neuronowe, genetyczne, obiektowe, imperatywne, funkcjonalne, deklaratywne, logiczne, współbieżne, wielowątkowe, gridowe (i jeszcze aspektowe, ostatnio bardzo modne).

Konieczne jest rozerwanie więzów zmuszających do studiowania ustalonych dyscyplin naukowych. Trzeba stworzyć możliwość studiowania w systemie zbliżonym do anglosaskiego, to znaczy nie w instytucie, lecz na uniwersytecie. Takie studia będą tańsze i dadzą większości absolwentów lepsze gwarancje uzyskania zatrudnienia. Uważam, że należy stworzyć co najmniej możliwość powstania takich studiów równolegle do istniejących. Powinny to być studia masowe, w odróżnieniu od proponowanych elitarnych studiów międzywydziałowych, których celem ma być wykształcenie uczonych przygotowanych do prowadzenia badań interdyscyplinarnych. Po to, by takie studia zostały dobrze przyjęte przez potencjalnych studentów i pracodawców, należy je dobrze „sprzedać". Na przykład, zaczynając od prowadzenia studiów wspólnie z uniwersytetami amerykańskimi i oferując dyplom podkreślający to, że są studia w systemie anglosaskim. Tak jak zrobiono ze studiami MBA (*Master of Business Administration*), które odniosły wielki sukces rynkowy.

Oba projekty przewidują studia dwustopniowe, których wprowadzenie ma być ważnym elementem procesu bolońskiego. Właśnie masowe studia „dwustopniowe"

prowadzone są w systemie anglosaskim, gdzie ogromna liczba studentów zdobywa tytuł bakałarza (*licencjata*), a tylko niewielu zapisuje się na studia zawodowe (*professional*) lub magisterskie i doktoranckie (*graduate*). Jest przyjęte, że nie kontynuuje się studiów na tej samej uczelni, przejście na wyższy poziom oznacza więc zmianę miejsca studiowania i może też oznaczać wybór lub zmianę specjalizacji. System anglosaski pozostawia taką możliwość, gdyż jest ogromnie elastyczny.

Absolwent naszych studiów licencjackich jest niedokończonym socjologiem, trochę historykiem lub ćwierćmatematykiem, a wymagania stawiane przy przyjęciach na uzupełniające studia magisterskie (zaliczone 60% standardów) sprawiają, że polski licencjat może kontynuować studia tylko w wybranej uprzednio specjalności. Ponadto niska wartość rynkowa półspecjalistów powoduje, że wszyscy chcą kontynuować naukę na studiach magisterskich, do tego na tej samej uczelni (jeśli to tylko możliwe). W zasadzie dla studenta uczelni oferującej studia magisterskie, dwustopniowość oznacza jedynie dodatkowy egzamin po trzecim roku studiów. A mówi się, że ma promować zmianę uczelni i ewentualnie specjalizacji, tak jak to jest w USA.

Do Bolonii czy do Berkeley

Szkolnictwo wyższe w Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich, boryka się z wieloma problemami. Z niektórymi problemami poradziliśmy sobie lepiej niż inni. Możemy prowadzić selekcję kandydatów na studia, możemy zakładać, i zakładamy, prywatne uniwersytety.

Jednym z poważnych problemów, którego nie mają inne kraje europejskie (przynajmniej w „starej" Europie) jest brak kadry dydaktycznej w wielu rynkowych dziedzinach: w informatyce, neofilologiach, pedagogice, socjologii oraz niski poziom badań naukowych w tych dziedzinach. Z informacji, które podał profesor Andrzej Kajetan Wróblewski w rozmowie z Andrzejem Hołdysem („Gazeta Wyborcza", 28.07.04), wynika, że fizyka, matematyka i historia są w Polsce uprawiane na dobrym poziomie i zajmują w rankingach ISI odpowiednio 12., 13. i 15. miejsce na świecie. Sytuacja informatyki, która zajmuje 27. miejsce, jest zła, natomiast sytuacja pedagogiki jest tragiczna. Znalazła się w siódmej dziesiątce.

Z drugiej strony na pedagogice w roku akademickim 2002/2003 studiowało ponad 146 tysięcy studentów, na informatyce ponad 62 tysiące, na historii 25 tysięcy, na matematyce ponad 18 tysięcy, a na fizyce niecałe 10 tysięcy. Sytuacja się nie poprawia i dysproporcje pomiędzy potrzebami dydaktycznymi a liczbą nauczycieli rosną. W latach 2000-2002 nadano z pedagogiki 34 habilitacje, z informatyki 32, natomiast z historii 139, a z fizyki 113. Nie robi się nic, żeby przyspieszyć tempo wzrostu kadry nauczającej na kierunkach rynkowych. Także nowa ustawa nie stwarza mechanizmów, które mogłyby pomóc w rozwiązaniu tego problemu.

Jedną z przyczyn, dla których autorzy projektów Ustawy o szkolnictwie wyższym odbierają uczelniom prawo ustalania programów nauczania, jest próba dostosowania się do wymagań Unii Europejskiej, a może, jak niektórzy sądzą, zdobycie władzy za pomocą unijnego straszaka. Jednym z celów procesu bolońskiego jest doprowadzenie do wzajemnej uznawalności dyplomów, co będzie możliwe, jeśli zrówna się poziom nauczania we wszystkich uniwersytetach europejskich. Raport Komisji Europejskiej zatytułowany *Rola uniwersytetów w Europie wiedzy* wyraża niepokój, spowodowany różnorodnością europejskich uniwersytetów, nie tylko pomiędzy poszczególnymi państwami, *ale także wewnątrz każdego z krajów*. Jest to zdaniem autorów raportu fakt niepożądany.

W USA różnice pomiędzy uniwersytetami są ogromne. Powszechnie wiadomo, jak bardzo Uniwersytet Stanforda różni się od UC w Santa Cruz. O University of Mass-Lowell mało kto słyszał. Ja do dziś nie słyszałem. Uniwersytety, które wymieniam, to odpowiednio pierwszy, pięćdziesiąty i dziewięćdziesiąty ósmy na liście rankingowej wydziałów informatyki. Wszystkie te uniwersytety należą do kategorii *research university*, których w USA jest nieco ponad 120. Oprócz tego jest około 450 uniwersytetów nadających stopień doktora, a wszystkich uniwersytetów jest ponad 4000. Różnice między tymi z pierwszej setki a tymi z ostatniej są zapewne takie, jak między jakością życia w Szwajcarii i Korei Północnej. Różnice te dotyczą wszystkiego: rynkowej wartości dyplomu, jakości kadry i budżetu. Uniwersytet Stanforda jest bogaty (na same badania otrzymuje z zewnątrz blisko miliard dolarów rocznie), uniwersytety z końca pierwszej setki są już biedne. Nie stać ich na istotne dofinansowywanie badań. Uniwersytety z końca listy żyją skromnie z niskiego czesnego, płacąc niskie pensje kadrze, której jakość nie jest wysoka. System amerykański jest efektywny, bo pieniądze i talent kumulują się w kilku miejscach, co daje olbrzymią masę krytyczną o wielkim potencjale.

Autorzy projektu ustawy chcieliby, aby w Polsce dyplom magistra miał taką samą wartość, niezależnie od tego, która uczelnia go wydała. W końcu nie jest to dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Uniwersytetu Warszawskiego, lecz dyplom państwowy (art. 155). Państwowa Komisja Akredytacyjna ma stać na straży tego, żeby się ktoś ani w górę, ani w dół nie wychylił.

W USA nie ma państwowych tytułów zawodowych. Moje, dość wprawdzie ograniczone, kontakty z prywatnymi pracodawcami zatrudniającymi informatyków w Polsce i w Europie, pozwalają mi mniemać, że to, czy kandydat na pracownika jest magistrem, ma dla nich znacznie mniejsze znaczenie od tego, co umie. A jeśli w ogóle oglądają dyplomy, to sprawdzają, kto je wystawił.

Próby zrównania poziomu uniwersytetów są skazane na niepowodzenie. Jeśli nie wprowadzi się rejonizacji i nie zlikwiduje konkursowego trybu przyjmowania kandydatów na atrakcyjne kierunki, uzdolniona młodzież będzie garnęła się do dobrych szkół, a dobre szkoły będą z tego korzystać i wybierać najlepszych kandydatów.

Dyplomy będą miały różną wartość nie tylko dlatego, że na przykład na Uniwersytecie Warszawskim kadra nauczająca jest lepsza niż w Prywatnej Wyższej Szkole Informatyki w Pcimiu Dolnym. Także dlatego, że na studia informatyczne na Uniwersytecie Warszawskim na 120 miejsc przyjmuje się około 40 laureatów olimpiad przedmiotowych, a pozostałe 80 osób wybiera się spośród dwóch tysięcy bardzo dobrych kandydatów. Podobnie jest na całym świecie. Absolwentów informatyki Rice University ceni się wyżej niż absolwentów University of Illinois w Urbanie, mimo że wydział informatyki w Urbanie jest chyba lepszy. Po prostu, warunki finansowe i system rekrutacji w Rice powoduje, że studiuje tam uzdolniona młodzież. We Francji absolwenci Grandes Écoles są lepsi od absolwentów uniwersytetów, mimo że wiele francuskich uniwersytetów ma doskonałą kadrę.

Future of universities in Poland

We discuss the system of higher education in Poland and comment on the changes proposed by a project of a new law governing universities. We argue that bureaucracy and centralisation of decisions concerning curricula will have a negative impact on the quality of university education. We claim that at least for some time habilitation should be retained, but the requirements for habilitation should be similar to requirements for a tenure in American research universities.

Key words: habilitation, curriculum, universities, bureaucracy